Nr. 186.

Dodatek do „Gazety Narodowej”

z dnia 4. Czerwca 1896.

Z pamiętnika afrykańskiego.

Porucznik pruski Ernest Schmidt wysłany z wojskiem do południowo-zachodniej Afryki, utrzymywał listy swoje w takim porządku, że kiedy 7 maja 1896 zginął podczas ataku na fort Kahimema, można było z nich utworzyć rodzaj nader ciekawego pamiętnika. Trzy urywki z niego podajemy oto czytelnikom w tłumaczeniu.

Na zwiadach oficerskich.

Okahandya 15 stycznia 1896.

D. 2 listopada zr. otrzymałem rozkaz przeprowadzenia śledztwa w pewnej sprawie na Waterbergu i już d. 5 tm. wieczorem wyruszyłem w drogę w towarzystwie ośmiu rajtarów. Nie było dosyć koni jucznych pod ręką, dlatego już dniem poprzód wysłałem wóz z prowiantami, który miałem zabrać z sobą, wraz z Wilhelmem, tłumaczem języka plemienia Herero. Należał do tego wozu personal tubylców, złożony z mieszańca (owocu pożycia jakiegoś białego z Hotentotką) nazwiskiem Petons, który był poganiaczem, z mego bambuzena (służącego) Hendryka, jednego Hotentota, Jana z górskiego plemienia Damara, który wiódł zaprzęg na linie i z jednego pastucha z plemienia Herero, którego imię znaczyło tyle, co słońbyk.

D. 11 listopada dotarliśmy do Waterberga pod Otyosondyupa, które opuściłem już d. 13 tm., aby się dostać do Grootfontein. W połowie drogi porzuciłem oddział i samoczwart z tłumaczem i dwoma jeźdźcami pojechałem do Grootfontein, podczas gdy reszta ludzi miała wóz odprowadzić powoli do Rietfontein, odległego o jakich 50 klm. w bok i mnie tam oczekiwać.

Do pierwszej osady, której nazwa brzmi w języku Herero Otyiwanda tyongwe czyli tygrysi wzgórek, przybyłem po południu d. 17 listopada tr. Grootfontein leży na niskiej, wydłużonej i lesistej wyżynie, przechodzącej prawie na wszystkie strony wprost w rozległą płaszczyznę, a siedzi w niem niewielka liczba burów, Europejczyków i ich kolorowych robotników: Hererów, Hotentotów, górali damarskich i Buszmenów. South-West-Africa-Company posiada tu wielki kawał ziemi, to też utrzymuje w Grootfontein kilku urzędników swoich, których zadaniem jest badać zachodnie góry, czy nie zawierają szlachetnych kruszców. Towarzystwo handlowe Damary i Namakwy posiada tam także store t. j. dom handlowy, utrzymuje w Grootfontein również kilku urzędników. I mnie i ludzi moich oba towarzystwa witały bardzo gościnnie.

Już z końcem siódmego dziesiątka lat osiadło tu tj. w okolicy pomiędzy Waterbergiem, Otawi i Grootfontein wiele rodzin burów, które wyszły z Transvaalu, cofnęły się one jednak później znowu w granice ojczyzny, bo krajowcy bardzo nieprzyjaźnie się wobec nich zachowywali. Znowu nowe rodziny ciągną w te okolicy od półtora roku i w liczbie 28 osiadły tuż przy licznych źródłach, bijących w Grootfontein. Zakupiły one grunt pod rolę i zakładają farmy. Kiedym ich trochę bliżej poznał, powziąłem dla nich sympatyę. Naczelnikiem ich jest tak zwany komendant, któremu u boku stoją dwaj doradcy.

Burowie zajmują się chowem bydła, rolnictwem i transportem towarów. Hodują konie, woły, owce, kozy i kury. Konie, które u nich widziałem, były bardzo dobre, a są to po większej części „solone“ konie, to znaczy takie, które przebyły chorobę końską, tyle zawsze ofiar zabierającą. Rzadki koń przebędzie ją szczęśliwie. Hodowcy twierdzą, że drugi raz nie dostaje koń tej choroby i nawet na potomstwo przechodzić ma odporność na nią. Dlatego konie solone są też bardzo drogie, płaci się za nie na północy po 40 i 60 funtów sterlingów, podczas gdy dobry nie solony koń kosztuje na południu około 6, a w Windhoeku około 16 funtów. Bydło przyprowadzone przez burów z Transvaalu jest daleko mleczniejsze, silniejsze i tłutsze niż bydło afrykańskie i damarskie, chowane na ziemiach, pod protektoratem zostających. Podejmują się też tu próby krzyżowania z nadzieją dobrych rezultatów zwłaszcza dla uzyskania reproduktorów, a tych na razie najwięcej potrzeba burom, świeżo przybywającym i szukającym dopiero odpowiednich sadyb.

Próbę uprawy, a raczej pierwotnego zużytkowania ziemi miałem sposobność oglądać u bura Joubert'a. Po dwudniowym mianowicie wypoczynku w Grootfontein, ruszyliśmy z miejsca i po półtrzeciagodzinnej jeździe przez step, pozbawiony drzew i krzaków, a z licznymi stadami strusiów, przybyliśmy do gór Rietfontein'u, u których stóp leży sadyba Joubert'a. W około doskonałe pastwiska, na stokach bije obfite źródło, na szczycie gęsty las stoi. Tuż nad wodą stało prowizoryczne mieszkanie Joubert'a, t. j. mały namiot i kilka jak namioty rozbitych bud wozowych. Chociaż ziemia dopiero od dziesięciu tygodni była zajęta, całe siedlisko było już wzorowo urządzone. Do uprawy używano, pominąwszy pług, samych tylko prymitywnych narzędzi, liczba kolorowych robotników była bardzo szczupłą, a mimo to wąski strumyk był już odczyszczony, garbarnia była założona, tęgi kawał gruntu zaorany i owsem, kukurudzą i żytem zasiany, prawie tak samo wielki kawał ziemi zmieniony w ogród, a wreszcie wszystko obwiedzione kolczastym kraalem i ochronione przed wtargnięciem dzikich zwierząt lub bydła. W ogrodzie wyrastały już rozmaite kwiaty, sałaty, ziemniaki, ogórki, dynie, melony, bób, groch, tytoń, drzewa owocowe itd. a wszystko bardzo piękny plon zapowiadało, bo bardzo starannie było uprawione.

Cała osada mogła za wzór być postawiona, za wzór takiego starania i porządku, jaki nie często się napotyka. Nie trzeba jednak sądzić, aby tylko dostatek wody i urodzajnej ziemi decydował o powodzeniu kolonii. Nie — i jedno i drugie znaleść można wszędzie indziej, w wielu przynajmniej miejscach, a mimo to założone tam kolonie nie stają się wcale wzorowymi. U Joubert'a dokonały tego raczej własna jego praca i dzielna pomoc całej rodziny od głowy domu aż do najmłodszego syna i ta to okoliczność sprawiła, że kolonia ta tak znakomicie jest zagospodarowana. Pod warunkiem takiej pracy i pilności — wiele tu miejsc może się zmienić w dostatnie farmy, w centra cichej, wiejskiej kultury.

Z Joubert'em poznałem się w Grootfontein, gdzie właśnie miał czynności jako radca. Tu w swoim futorze kazał na moje przybycie izbę mieszkalną tj. namiot ozdobić kwiatami. Po smacznym obiedzie słuchałem też z przyjemnością muzykalnych produkcyj. Jedna z bardzo miłych córek farmera grała bardzo pięknie na harmonium, którego zewnętrzna szata niemało ucierpiała od częstych transportów (przenosin). Bardzo wzruszające były holenderskie pieśni ludowe, które później wszyscy członkowie rodziny Joubert'a chórem odśpiewali. Z serdecznem podziękowaniem dla gościnnych gospodarzy odjechaliśmy po kilku godzinach w dalszą drogę. Obrazek ten z życia burów sprawił mi prawdziwą przyjemność i jestem silnie przekonany, że jeżeli inne rodziny burów tylko w przybliżeniu tak żyją i pracują, to imigracya ich będzie błogosławieństwem dla terytoryum naszego protektoratu.

W tym samym dniu po półczwarta godzinnej jeździe przez gęsty bór dotarliśmy do naszego celu tj. do Rietfontein, zwanego w języku Hererów Otyomukuyu tj. miejscem, gdzie figi rosną. Leży ono przed łańcuchem wzgórz. Niedaleko stamtąd bije w łęgu (Riet) źródło, dające bardzo wiele wody, która odpływa w kilku wąskich strumykach i zmienia wielki szmat ziemi w żyzny ogród. Ponieważ zaś jest tam także dużo lasu, dużo dobrej gleby i doskonałej paszy, więc mojem zdaniem byłby Rietfontein doskonałem miejscem na większą fermę.

Moi ludzie, konie i pociągowe woły przebywały tam przez 2 dni i wypoczęły przez ten krótki czas tak dobrze, żem zaraz nazajutrz po przybyciu tj. już 20 listopada mógł ruszyć w dalszą drogę. Popołudniu dnia 24 przybyliśmy do Otyosondryupa tj. do miejsca, gdzie tykwy rosną, głównej siedziby naczelnika Hererów Kambacembiego, który ma być najbogatszym z Hererów i posiadać niezliczone stada bydła. Ponieważ miałem do niego sprawę urzędową, przeto udałem się do jego siedliska z odwidzinami natychmiast po przyjeździe. Sadyba jego jest trzykroć tak wielka jak u nas tam w Europie rynki a obwiedziona wokoło najpierw dwa do trzech metrów wysokim dzikim żywopłotem i następnie jeszcze kolczastym kraalem. Na przestrzeni tak ogrodzonej stoi pięć pontoków, zamieszkanych przez pięć żon naczelnika i przez rodzinę najstarszego jego syna. W kole zgromadzonych jakich 60 osób przyjął mnie Kambacembi; siedział on na polowym fotelu i podał mi niewstając prawicę, syn zaś jego, wiedzący coś więcej z powierzchownej grzeczności europejskiej, podał mi niski stołek, wyplatany z cienkich rzemieni. Między mną i naczelnikiem a za pośrednictwem tłumacza rozpoczęła się więc „praterya“ (z holenderskiego praten, mówić, omawiać) w której też domniemany następca „tronu“ Kamyungwa brał udział. Reszta obecnych podczas rozmowy wydawała tylko czasami mruk „m“ lub „ya“ oznaczający zrozumienie, potakiwanie, a rzadko tylko „rak“ znak przeczenia.

Podarunku umyślnie tym razem nie przyniosłem naczelnikowi, lecz aby nie być jak poprzednio dwa razy o dary nagabywanym, przysłałem mu później hurtem tytoń, ryż i kawę. Podczas pierwszych moich odwiedzin przed kilku miesiącami ofiarowałem mu zaraz przy pierwszem powitaniu trochę tytoniu.

Kiedym potem powrócił do obozu, sprawił mi niespodziankę tłómacz, zjawiając się nagle i szeptem dając mi znać, że w pobliżu poza krzakiem oczekuje na mnie naczelnik i chce się rozmówić. Przybywszy na wskazane miejsce spostrzegłem w ciemności Kambacembiego siedzącego na ziemi a obok niego dwóch jego ludzi w tej samej pozycyi. Na pytanie, czego sobie życzy, odpowiedział mi prośbą o tytoń, bo ten, który otrzymał, musiał, jak twierdził, natychmiast rozdać w darze swoim ludziom. Chociaż stary lis najwidoczniej łgał, podarowałem mu jednak kilka tabliczek tytoniu, aby tylko nie psuć harmonii między nami. Odtąd zapamiętałem sobie przestrogę, aby nigdy już w przyszłości nie występować odrazu przy powitaniu z podarunkami.

Nazajutrz popołudniu oddał mi wizytę najpierw syn naczelnika, a następnie on sam. Kambacembi, nazywający sam siebie Beesten capitaen tj. właściciel wielkich trzód, ma lat około 68 i postawę bardzo wspaniałą, robi jednak takie wrażenie, jak zresztą większa część Hererów, że nigdy na żadne fizyczne natężenie się nie narażał. Jest jeszcze poganinem, a suknie nosi prymitywne. Całe ciało miał mocno tłuszczem natarte, a krótki włos który zdaje się ani na chwilę nigdy nie wszedł w styczność z grzebieniem, był przyozdobiony płaskimi muszlami.

* * *

Cesarskie urodziny.

Okahandya 27 stycznia 1896.

Capstrzyku ani patyrotycznych przedstawień teatralnych nie mieliśmy wczorajszego wieczora. Tem chętniej przeto przebywaliśmy myślą przy naszych kolegach tam w miłej ojczyźnie, obchodzących dzisiejsze święto.

Zrana dnia cesarskich urodzin nie ujrzeliśmy tak jak tam w domu ani migotliwego obrusa śniegów na ulicach i dachach, ani szarych chmur zwiastujących nową zamieć, przeciwnie niebo odsłoniło się w całej czystości i zapowiadało dzień bardzo gorący.

Zamiast dźwięków pobudki, z którą ja sam rok temu przeciągałem przez ulicę spokojnego miasteczka, gdzieśmy stali załogą, zabrzmiało mi dziś nad uchem „Dzień dobry, kapitanie!“ mego hotentockiego bambuzena (służącego).

Przed południem miał dla nas misyonarz bardzo stosowną uroczystą przemowę, poczem około południa zaczęła się parada. Załoga miejscowa 18 jeźdźców uszykowało się w pieszych szeregach. Obok nich stanęło 40 konnych Hererów z karabinami na udach.

Czarni na małych po większej części koniach w kapeluszach przyozdobionych piórem strusiem i wstążeczką czerwoną (odznaka Samuelowców) albo białą (odznaka Nikodemowców) czynili wrażenie bardzo śmiałej armii. Poważnie stali Samuel Maharero i Nikodemus jak komendant i adjutant przed frontem, a całe to widowisko otaczało koło mniej więcej z półtora setki widzów. Siedzieli tam starzy Hererowie na podnóżkach, wytrzeszczając bezmyślnie oczy i kiwając głowami na takie nowości. Nagie dzieci Hererów skakały i wykrzykiwały, póki nie dostały doraźnej admonicji za zbytnią swawolę od matek, pstrych od różnobarwnych spodnic barchanowych i chustek, a niejedna piękność hererska lub hotentocka, nie mająca jeszcze męża strzelała oczyma na skarb swój w mundurze wojskowym, naturalnie tylko skrycie, aby misyonarz nic nie spostrzegł.

Z wysokości grzbietu mego siwka Omara miałem mowę, a następnie wręczyłem starszemu naczelnikowi Samuelowi Maharerze kartkę z wypisaną na niej przemową w języku oraherskim. Odczytał ją z wielką dumą i wstrząsającym patosem. Potem wzniosłem okrzyk na cześć cesarza, przyczem hurra! żołnierskie pomięszało się z okrzykami widzów i jeźdźców hererskich, wywijających karabinami po nad głową.

Następnie przemaszerował przedemną oddział naszych żołnierzy, a potem hererskich. Ci ostatni cwałowali przedemną po jednemu, a każdy wykrzykiwał hurra! i wywijał kapeluszem.

Oszczędziłem sobie krytyki! Natomiast nastąpiło obwieszczenie kilku awansów i udzielenie pozwolenia na zabawę dziś wyjątkowo bez ograniczenia. Stało się też, że tak moi ludzie jak i Hererowie byli wieczorem, gdy ochłódło, w wielce ożywionem usposobieniu.

Z końcem stycznia doznałem jeszcze tej satysfakcyi, żem dostał w ręce pięciu zbrodniarzy z plemienia Kambacembiego, po których głównie wyruszyłem do Grootfontein. Pracują obecnie pilnie w ogrodzie. Rozumie się, że potrzeba było jeszcze kilku poselstw do Kambacembiego, zanim mi ich wydano, podczas których musiałem to grozić, to pochlebiać. Cierpliwości, cierpliwości i jeszcze raz cierpliwości koniecznie tu trzeba, chcąc czegoś dokonać.

Bój.

Okahandya 17 kwietnia.

Hurra! wybuchła walka. Trzydziestego marca po całodziennej ostrej jeździe przybyłem do Windhoeku, spędziłem wieczór u rodziny doktora R., którego żona razem z rodziną przyjaciół miała do Niemiec odjechać i dostałem 31 marca rozkaz natychmiast na Otjeseya i Barmen odjechać ze spiesznymi listami, w obu miejscach zostawić instrukcye dla załóg i uspokoić krajowców, nakoniec zaś wrócić do Okahandya. Stało się tak. W Okahandya zastałem wszystkich w zupełnej nieświadomości wypadków pod Gobabis, a zatem w zupełnym spokoju. Samuel jest najzupełniej nam wierny. Zresztą słyszałem jeszcze w Windhoeku, że Hendrik Witboi przybywał ze swoimi ludźmi nam na pomoc. Jazda moja z Barmenu tu dotąd bardzo była forsowna, przebyłem 36 km. w godzinie i 45 minutach. Cała przestrzeń, którą w trzech dniach przebyłem, wynosi około 290 klm.

Tymczasem otrzymałem ku wielkiej mojej radości rozkaz majora: Porucznika Schmidta na jego własne życzenie zastąpi w Okahandya oficer świeżo przybyły, a sam ruszy z nami w pole. Byłem uszczęśliwiony. Następnej nocy tedy ruszam do Windhoeku, a stamtąd w bój. Spełnia się tym sposobem moje gorące życzenie. Porucznik Schwabe, który mnie tu ma zastąpić, przybędzie dopiero za kilka dni, ja jednak nie będę czekał na to. Co prędzej kupiłem sobie dobrego konia, wspaniałego siwosza, on mnie poniesie do walki. Najprzód będzie szedł jutro luzem, bo oprócz niego biorę trzy konie służbowe ze stajennym, młodym Hotentotem. Towarzyszą mi żołnierze Pollzien i Gerbeth, ten ostatni tak jak i ja z 72 pułku.

Ponieważ w wojnie i pokoju stoimy pod opieką Bożą, a życie nasze nie może się ani rychlej ani później skończyć, niż wtedy, kiedy Bóg zechce, więc z tą pewnością ruszam radośnie na nieprzyjaciela. Kiedy znowu będę pisał i czy to się w ogóle kiedykolwiek stanie, to leży w ręku Boga. Gdyby mnie miała trafić kula hererska lub hotentocka i zakończyć moje życie, wiedźcie — i niech wam to będzie pociechą — że nie zaskoczy mnie śmierć niespodzianie, lecz dobrze w duszy przygotowanego na stawienie się przed tronem Bożym. Nie zapominajcie nigdy zupełnie o waszym wiernym Erneście Schmidt'cie.

Kongres socyalistów.

Socyaliści angielscy przygotowują się do kongresu międzynarodowego, jaki się ma odbyć w Londynie w końcu lipca br. Przyszły kongres będzie również czczym, jak poprzednie; te same deklamacye i te same wykrzykniki towarzyszyć będą paradzie rewolucyonistów. Różnica chyba ta będzie, że angielscy socyaliści będą mieli sposobność do wykrzyczenia się na cześć rewolucyi, o której, przyznajemy im to, wcale nie myślą.

Ze spisu kwestyj, postawionych na porządek dzienny obrad kogresu widać, jak dalece niedojrzałemi są wszystkie organizacye socyalistyczne, z wyjątkiem partyi niemieckiej. Ta ostatnia nie postawiła żadnego wniosku pod obrady, bo pełna „solidarności międzynarodowej“, gdy może się wtrącać do cudzych spraw, bynaj-

Tania podróż.

— Żebyś na głowie stanął, to taniej nie wyjdziesz!

Słowa te wypowiedziano tak głośno w towarzystwie, siedzącem obok mnie w kiosku kawiarnianem na „Grabenie“, że mimowoli zwróciłem na nie uwagę.

Towarzystwo składało się z dwóch mężczyzn i dwóch kobiet — widocznie dwie pary małżeńskie.

Zacytowane powyżej zdanie, wypowiedział elegancko ubrany młody mężczyzna, w białym cylindrze z czarną wstążką.

Drugi zaś, którego przekonać się starał, lat miał około czterdziestu, nosił złote okulary, skutkiem czego nad wiek wyglądał poważnie.

Wyrazy „taniej wyjdziesz“ szczególnie mnie zainteresowały, gdyż mieściły w sobie zapowiedź rozwiązania problemu, nad którem przez całe życie daremnie sobie suszę głowę.

Nie przypominam sobie bowiem, żebym był kiedykolwiek na czemś „wyszedł taniej.“

Z tych przeto doniosłych przyczyn, choć z natury nie ciekawy wcale, postanowiłem przysłuchać się rozmowie.

Zasłoniłem się tedy gazetą i słucham:

— Przecież podróż drugą klasą — argumentuje młody mój sąsiad — kosztuje już około 70 zł.!

— Drugą klasą! — odzywa się żywo jegomość w złotych okularach. — Cóż ci Pan Bóg dał? Myślisz, że jestem bankierem, lub choćby głównym kasyerem w banku? Odzwyczaiłem swoją żonę gruntownie od tego rodzaju „wyderkafów“; tak ci panie trzecią klasą jedzie, aż hej! a jak trzeba, to i piechotą szmat drogi „podrałuje!“

Ciekawy byłem zobaczyć właścicielkę tylu cnót, więc ostrożnie z poza gazety głowę wychylam, by się siedzącym przy tym stole kobietom bliżej przypatrzeć.

Jedna z nich w suto ubranej sukni z mousseline écru, dobrej była tuszy, wcale przystojna, jakkolwiek nie bardzo musi ufać białości swoich liców, kiedy je pokryła cieniutką warstwą „peau d' Espagne“. Na głowie miała duży słomiany kapelusz, strojny w wstążki i kwiaty, z pomiędzy których wyróżniała się głównie czerwona nadzwyczaj ruchliwa róża, na długim druciku, oznaczająca jak metronom tempo, w jakim właścicielka kapelusza prowadziła rozmowę.

Była to — jak zdaje się słusznie kombinowałem — piękniejsza połowa, panna w złotych okularach.

Druga dama, młodsza od niej, ubrana była elegancko lecz bez pretensyi.

Obie panie prowadziły również bardzo żywą konwersacyę. Byłem więc świadkiem podwójnego dyalogu, jakiegoby się nie powstydził Sardou ani Dumas.

— Wiesz moja droga — powiada pani z różą — w tym roku bardzo mało sobie do podróży sprawiam, bo nie chcemy dużo wydać, a mąż mój zgoła już wziął na oszczędność.

— Kapelusz słomkowy sama sobie sprowadziłam. Kupiłam „fason“ za dwa złr., wstążki miałam z zimowej bluzy, dokupiłam tylko kwiaty i koronki za cztery złr. i kapelusz mam „jak nowy“.

(Przy tych słowach róża silniej zadrgała, jak gdyby w poczuciu, że to jej główna zasługa).

— W istocie bardzo ładny — odpowiedziała młodsza dama, spoglądając na kapelusz.

— Więc widzisz — dowodzi równocześnie pan w okularach — jeżeli policzysz podróż trzecią klasą, to koszt jazdy akurat do połowy się zredukuje.

— No dobrze, połowa — odpowiada niby przekonany pan w cylindrze. — Lecz w podróży też będziesz miał wydatki, choć kilka reńskich.

— Kilka reńskich! ha, ha, ha! — śmieje się starszy jegomość. — To ty chyba mojej Fanny nie znasz. Ani centa, bracie, nie wydamy, ani centa! Co najwyżej, trochę owoców się kupi. My zawsze bierzemy ze sobą prowiant obfity, nawet bułki w drodze nie kupię — eh! Ty widocznie nie znasz mojej Fanny!

— Ze sukien — odzywa się w tej chwili głos pani Fanny — tylko jedyną „zefirową“ „do elegancyi“ zamówiłam sobie w salonie; co prawda kosztuje ośmdziesiąt pięć złr., ale śliczna! — zresztą wszystko w domu uszyć każę.

— Ciemno jedwabna suknia, jak ci wiadomo, była już za ciasna i trochę „z mody wyszła,“ więc ją „sprułam“ zupełnie i przerobiłam na bluzę. Dokupiłam tylko modne guziki i haft i mam „nową“ elegancką bluzę. Wszystko razem z robotą kosztować będzie „raptem“ dwanaście złr.

— To żadne pieniądze — potwierdziła przyjaciółka.

— Liczę, że zanim na miejsce dojedziemy — już suto liczę, razem z jazdą trzydzieści złr — kontynuje mąż pani Fanny swoje obliczenie.

— Dobrze, niech będzie trzydzieści zł! potakuje przyjaciel.

— A teraz hotel i „życie“ na dwie osoby dziennie po... to już przesadzam, bo my z Fanny nigdy tyle nie potrzebujemy — po... dziesięć zł. Trzydzieści dni pobytu, czyni zatem, trzysta zł. Ani feniga więcej! Ty nie wiesz mój drogi, jaka moja Fanny skromna.

Tymczasem „skromna Fanny“ wylicza szczegółowo wydatki na tualety.

— Do ogrodu, do table d'hote — powiada — sprawiłam sobie „zwykłą“ batystową suknię — właściwie rodzaj negliżu.

— Cóż to kosztuje? — prawie nic.

— Dziesięć metrów materyi u Gerngrossa — occasion — wszystko razem dziesięć zł. Dodatki — zadysponowałam, żeby ją zrobiono „całkiem skromnie“ — tylko trochę wstążek — kosztowały cztery zł.

„Za to“ będę ją nosila całe lato, a na „drugi rok“ będę miała w domu bardzo „przyzwoity“ negliżyk.

— „Prawda!“ wtrąciła młodsza dama.

— Z materyi, którą na urodziny dostałam od męża, kazałam sobie uszyć dwie bluzy, żebym zawsze jedną mogła nosić, gdy druga będzie „w praniu“. Materya „nic“ mnie nie kosztuje, zaś robota i dodatki za obie bluzy razem wyniosą najwyżej — dziesięć złotych.

— Trzysta złotych — a ile przedtem wyliczyłem? — trzydzieści? więc razem trzysta trzydzieści złotych — kończy tymczasem obliczenie mąż pani Fanny. — Policzmy teraz nadzwyczajne wydatki: wycieczki, kąpiele, tryngieldy na wyjezdnem, fartuszek dla służącej i powrót do domu — liczę przytem „nobel“ tryngieldy, ty mnie znasz, że ja na takie rzeczy bardzo jestem — panie, tego; a więc liczmy czterdzieści złotych, to cała podróż wypadnie, ale już wszystko „do kupy“ razem trzysta siedemdziesiąt złotych i ani centa więcej!

Równocześnie i pani Fanny swój preliminarz kończyła, dodawszy tylko kilka „drobiazgów“.

— Co jeszcze koniecznie potrzebuję, ale to koniecznie, to przynajmniej sześć par rękawiczek. Proszę ciebie w lecie... przy czółnowaniu. Następnie parę bucików „na deszcz“ i lakierowane półbuciki do domu.

— Cóż to może razem kosztować? piętnaście złotych!

— Nie więcej — uspakajała ją przyjaciółka.

— Zapomniałem jeszcze o kapelusiku do podróży z niebieskim welonem i wreszcie różne „nieprzewidziane drobiazgi“. To wszystko jednak nie wyniesie więcej jak dwadzieścia zł. Nie zapomnij jednak, moja droga, że się tego wszystkiego po podróży przecież „nie wyrzuca“, że to na drugi rok zostaje. Mogę więc liczyć, że podróż tegoroczna kosztować mnie będzie właśnie bagatelkę.

Przekonany jestem, mimo, że pierwszy raz panią Fanny widziałem, że co roku w ten sam sposób „utylitarność“ sprawić się mających rupieci jako argument przytacza.

W tej samej prawie chwili, w której jegomość w okularach koszt podróży dokładnie co do centa na trzysta siedmdziesiąt zł. obliczył, preliminarz na różne fatałaszki jego „skromnej Fanny“ wyniósł sto pięćdziesiąt zł.

Jak się te dwa końce zejdą — mnie ani sz. czytelników o to głowa nie boli, a i pan w okularach bardzo musi być kontent, bo przekonany jest, że koszt podróży — przy użyciu rozmaitych oszczędności, wyniesie trzysta siedmdziesiąt zł. — „ani centa więcej!“

Wiedeń w lipcu.

Oswald Obogi.

mniej nie ma zamiaru prosić innych o radę w swoich sprawach. I słusznie. Podczas gdy więc w Hiszpanii proponują założenie wielojęzycznego pisma, mającego wykształcić ludzkość w zasadach „równości i sprawiedliwości", podczas gdy Anglicy wysilają się na wynalezienie języka międzynarodowego, podczas gdy Francuzi burzą wszystko, a inne narodowości proponują koszałki opałki, niemieccy socyaliści milczą uporczywie i czekają na głupstwa innych.

Na kongresie pp. Liebknecht i inni, którzy u siebie w domu trzymają się taktyki umiarkowania, a każdego zbyt głośno warcholącego się nazywają ajentem prowokacyjnym, w Londynie będą nieprzejednani, znosić będą państwa i narodowości i dobijać się będą uchwał na rzecz „całkowitej i niepodzielnej rewolucyi". Przyczyny tej taktyki są dwojakie. Niemieccy socyaliści mają dziś berło rządów w międzynarodówce, pomimo, że wskutek politycznego niedorozwoju Niemiec najmniej mogą oni zdziałać na polu pozytywnej pracy reformatorskiej. Umiarkowani zawiadowcy w Anglii i francuscy zwolennicy oportunizmu socyalistycznego więcej zdziałali, niż socyalna demokracya w Niemczech. Tego wszakże socyaliści niemieccy nie chcą przyznać, bo wyznanie takie odebrałoby im „pierwszą rolę" i dla tego żądają całkowitej rewolucyi, tej samej, której się wyrzekają nad Spreą. Powtóre: taktyka międzynarodówki była, by przedewszystkiem popierać zjednoczenie Niemiec, Marx i Engels użyli w tym celu wszystkich sił swoich. Podczas wojny włosko-austryackiej Engels wyraźnie wystąpił przeciw zjednoczeniu Włoch, bo Niemcy (t. j. żywioł niemiecki) stracą Pad. Utrzymanie więc polityki zagranicznej ze strony socyalistów, sprzyjającej Niemcom możliwem jest tylko wtedy, gdy w tym kraju socyaliści trzymać się będą utopijnej polityki, podczas gdy w Niemczech uwzględniać będą interesa niemieckie.

Dla tego pp. Liebknecht i cmp. którzy popierają interwencyę niemiecką w Transwalu, w Londynie będą głosić, że polityka kolonizacyjna jest grabieżą; dla tego też będą oni grali na fujarce „całkowitej rewolucyi" i „czystego socyalizmu," a angielskie, francuskie i inne wiatrogłowy będą tańczyli po tonie tej muzyki.

W tym roku będzie także walka między polskimi socyalistami. Jedni chcą, by kongres oświadczył się za odbudowaniem Polski; drudzy tego nie chcą. Charakterystycznem jest, że socyaliści niemieccy są za wyrazem *Vereinigung* prowincyi polskich. Pod czyjem berłem?

ROZMAITOŚCI.

Napad płci słabej na obóz męski. Bolesław Prus pisze w swej ostatniej kroniczce tygodniowej: Ludzkość ani przez jeden dzień nie zna i nie chce znać spospokoju. Kiedy w Europie milczą armaty, w Afryce i Azyi pękają łby przynajmniej pod uderzeniami pałek. Ledwie w roku 1871 ucichła orężna walka między dwoma najucywilizowańszemi narodami, zaraz wewnątrz nich rozpoczęły się polityczne walki między stronnictwami. Po stronnictwach zaczęły przyskakiwać do siebie z pięściami klasy społeczne, po klasach — wyznania, a po wyznaniach — płci!... Dzieci ze swymi ojcami dawno już znajdują się w rozterce, która dziś uzbraja żony przeciw mężom, a dokładnie... płeć żeńską przeciw płci mezkiej! Niema co taić: damy wypowiedziały wojnę mężczyznom, których już tak nienawidzą, ale tak nienawidzą, że pogardzają nawet ich... „uprzejmością!" Od tej pory już nie będziemy... Co to jest nie będziemy?... Od tej pory nawet — nie mamy prawa... ustępować miejsca kobietom: przy wejściu do pokoju, na ulicy, w tramwaju i t. d. Od tej pory nie będzie wolno nam zdejmować przed kobietą kapelusza, kłaniać się jej, wstawać z krzesła, przepraszać, gdy się ją potrąci... Kobiety bowiem (od roku 1896, miesiąc i dzień dokładnie nie są znane) kobiety bowiem zaczęły gardzić „objawami mezkiej uprzejmości, przekonawszy się (co prawda bez lekkomyślnego pośpiechu), że „mężczyźni tak hojni w komplementa dla kobiet, są względem nich — okrutni, w walce o byt". Krótko mówiąc, najnowsze stanowisko płci pięknej wobec mężczyzn jest takie:

— Wyrzucam za okno cukier, który ofiarowałeś mi dobrowolnie, ponieważ targujesz się ze mną o chleb razowy...

Za pozwoleniem. Przecież można targować się o chleb, czyli zarobek, nie wyrzekając się cukru, czyli uprzejmości. To jedno. A drugie: czy kobiety mają prawo wyrzekać się i skazywać na zagładę okazywaną im uprzejmość męzką?... „Uprzejmość" jest to pewien zwyczaj społeczny, który ułatwia stosunki między ludźmi i osładza im życie, jak np. jedzenie zupy łyżką ułatwia proces karmienia się i zabezpiecza nasze palce od zmaczania się i gorąca. I „uprzejmość" więc i „jedzenie łyżką" są to dobre zwyczaje, są to „społeczne skarby", których ludzkość nie powinna wyrzekać się, bez względu na damskie kongresy. Dziś „uprzejmość" obowiązuje głównie mężczyznę wobec kobiet. Gdybyśmy ją skasowali, ludzkość utraciłaby jedną z cywilizacyjnych zdobyczy i stoczyłaby się o jeden szczebel ku prastarej dzikości. Czy tego chcą kongresy feministek?...

Ale jutro, w miarę rozwoju cywilizacyi, uprzejmość stanie się „obowiązkiem wszystkich wobec wszystkich", a wówczas życie ludzkie może będzie nieco szczęśliwsze, niż jest dzisiaj... Był czas, że ludzie jadali tylko zupę łyżką, a mięso brali palcami. Gdyby w owej epoce odrzucono łyżkę, może dziś przyjmowalibyśmy pokarmy — zębami z ziemi. Ale cywilizacya, zamiast cofnąć się — poszła naprzód i obok łyżki, wprowadziła widelce, dzięki czemu, nawet przy jedzeniu mięsa nie walamy sobie palców. Tak będzie i z „uprzejmością męzką dla kobiet" w naturalnym biegu rzeczy; ale nie tak byłoby gdyby cywilizacyą dyrygowały kongresy nieprzejednanych feministek...

Polacy w Rzymie. Z Rzymu piszą pod d. 20. b. m.: Wczoraj powrócił do Rzymu z Afryki profesor Paweł Postępski, pułkownik oddziału sanitarnego włoskiego czerwonego krzyża. Dr. Postępski jeździł do Erytrei, aby odbyć przegląd szpitali i ambulansów wojennych. Obecnie, kiedy ustały już wszelkie przygotowania wojenne, kiedy prawdopodobnem jest zawarcie pokoju z Menelikiem, o co toczą się układy, kiedy do Włoch wraca również jenerał Baldissera, obecność prof. Postępskiego w Afryce stała się zbyteczną. Prof. Postępski jest dzisiaj jedną z popularniejszych postaci rzymskich. Ma obecnie 43 lata. Ojciec jego, Roman Postępski, znany malarz, osiadł w Rzymie, gdzie zarabiał na życie malarstwem i rytownictwem: tutaj ożenił się z panną Agnieszką Ruffini, która trudniła się malowaniem miniatur i na kości słoniowej, gdy mąż jej kopiował arcydzieła pędzla galeryj Watykanu i Kapitolu, Rafaelów, Domenichinów itd. Między innemi Roman Postępski znany jest z portretu Adama Mickiewicza, rytowanego na stali, a poświęconego hr. Aleksandrowi Branickiemu ze Stawiszek i hr. Annie z Hołyńskich Branickiej których poparciem i względami stale się cieszył. Oprócz nich, ojciec dzisiejszego znakomitego chirurga miał stałego a życzliwego przyjaciela w rektorze Józefie Mianowskim, u którego bywał często w Sinigalii, pod Ankoną, gdzie Mianowski posiadał willę. Roman Postępski miał dwóch synów, z których jeden, inżynier, umarł młodo, drugi zaś obrał zawód lekarza. W Porto d'Anzio młody Paweł Postępski poznał dzisiejszą żonę swoją, z domu Pallastrini. Państwo Postępscy mieszkają z kilkorgiem dzieci stale w Rzymie. Dzisiaj doktor Postępski jest jednym z najznakomitszych chirurgów włoskich, profesorem patologii chirurgicznej na uniwersytecie rzymskim i prymaryuszem szpitala.

Kiedy w r. 1892 w Vigni Pia, za bramą S. Pancrazio, wyleciała w powietrze prochownia, profesor Postępski powołany został do amputacyi nóg dwom ofiarom strasznego wypadku kapitanom: Spaccamela i Cattaneo, poczem z rąk króla Humberta otrzymał krzyż komandorski św. Maurycego i Łazarza. Przed dwoma laty mianowany został inspektorem Czerwonego Krzyża w randze pułkownika. Onto wprowadził do szpitali chirurgicznych rzymskich przy trudnych operacyach metodę antyseptyczną Listera. Znany jest nadewszystko ze zręczności i delikatnej ręki w wykonywaniu operacyi. Ta delikatność ręki służy mu zresztą także i na innych polach. Paweł Postępski znany jest także jako znakomity, świetny strzelec w *tir aux pigeons* na polowaniach. Jeździ przytem doskonale na bicyklu, pływa znakomicie i potrafi np. przepłynąć jezioro Bracciano (pod Rzymem w posiadłości książąt Odescalchich). Ciemny szatyn, niewielkiego wzrostu, o sympatycznych rysach twarzy, o dużych wąsach i z niewielkim zarostem brody, Paweł Postępski posiada wybitny typ słowiański, łączący słodycz wyrazu twarzy z męską sprężystością postawy, którą podnosi biały płócienny lekki hełm, jaki przywdziewa jako wydelegowany do wojska afrykańskiego, gdzie hełm płócienny należy do białego płóciennego munduru oficerskiego wojska erytrejskiego.

Płonące ładunki okrętowe. Najnowsze doświadczenia pouczyły, że przybywające z Australii ładunki węgla wskutek wielkiej jego zapalności niemniejszem grożą okrętom niebezpieczeństwem niż węgiel angielski. Podczas ostatnich dwóch, trzech miesięcy kilka wielkich żaglowców, wiozących węgiel australski stanęło w płomieniach, tak że załogi musiały je na pełnem morzu porzucić. Żelazna barka „Aleksandra" z 1800 beczkami węgla z Newcastle w Nowej Południowej Walii z przeznaczeniem do Los Augelos zawinęła do San Francisko z płonącym ładunkiem. Trzeba ją było przewiercić i zatopić. Inny okręt „Brabloch" naładowany 3154 beczkami węgla tego samego pochodzenia wśród największego niebezpieczeństwa zdołał właśnie w tej chwili stanąć w porcie San Francisco, kiedy już płomienie wydobywały się zeń szczelinami i wentylatorami. Okręt ten musiano również wyprowadzić na pełne morze i zatopić. Trzeci okręt, czteromasztowa barka „Republic" był również w drodze do San Francisco z ładunkiem 3900 beczek węgla z Newcastle N. S. W. W odległości około 300 mil morskich od miejsca przeznaczenia wybuchły płomienie z pod pokładu z taką gwałtownością, że załoga z życiem musiała uchodzić. Oprócz wymienionych statków w ciągu ostaich lat 40—50 żaglowców z ładunkami węgla w Nowej Poł. Walii zaginęło przez zapalenie się samego z siebie węgla albo też wskutek wywrócenia się, bo ładunek nie dość starannie był ułożony. W wypadku z okrętem „Knight of St. Michael" który wkrótce powrócił do miejsca, skąd wyszedł tj. do portu w N. P. Walii, a powrócił dlatego, bo węgle się w drodze silnie rozgrzały, wszczynający się pożar ładunku ugaszono i przeprowadzono jego rewizyę. Nie dała ona żadnego dodatniego rezultatu, ale powzięto przekonanie, że węgiel dlatego się rozgrzał nadmiernie, bo w ładudze było mnóstwo pyłu węglowego i w ogóle dużo startego węgla, a oprócz tego w czasie ładowania węgla na okręt panowały nadzwyczajne upały. Zresztą mimo wielu usiłowań nie udało się dotąd wyjaśnić przyczyn i warunków samozapalania się węgla ani wynaleść skutecznych przeciw pożarom węglowym środków ochronnych.

Najnowszą zabawką paryską są śliczne małe latarenki, wyrobione nadzwyczaj elegancko, które też dają dużo światła i dobrze się palą. Ale nie tkwią w ich wnętrzu wcale żadne świece. Zaopatrzone są w tradycyjny kaganiec oliwny en miniature, z którego wystaje knot i który bardzo szybko się zapala. Wtedy lamka wydaje piękne światło, a czas świecenia może trwać kilka godzin. Kształt lampek jest gotycki i naśladuje artystyczną robotę ślusarską, w rzeczywistości jednak jest tylko blacha mocna z powstawianymi w nią szybkami. Cała rzecz nie jest większą od orzecha laskowego. Na jarmarku w Neuilly, otwartym zeszłej niedzieli, po raz pierwszy oddano tę drobnostkę w ręce publiczności.

Za sztukę petite lanterne płaci się sześć sous, a zatem cenę niewygórowaną zwłaszcza dla tych republikanów, którzy cokolwiek podnieceni wracają z jarmarku do domu, a obawiają się, że nie tak rychło znajdą kluczem właściwy otwór w zamku. Ale i panie kupują chętnie takie latarenki i wtykają je między kwiaty bukietu, przypiętego do gorsu. Mężczyźni i dzieci umieszczają lamki na kapeluszach. W powrocie z Foire tedy, w drodze przez Champs Elysées wyglądają Paryżanie co wieczora jak świętojańskie robaczki.

Wydziedziczony. Być synem milionera i być wydziedziczonym! W tem miłem i niemiłem położeniu znalazł się syn amerykańskiego krezusa, Corneliusz Vanderbilt. Powodem wydziedziczenia jest małżeństwo, jakie Corneliusz Vanderbilt zawarł z panną Wilson, córką również bogatego Amerykanina, dziedziczką milionowej fortuny. Nie posagowe względy więc spowodowały ojca Vanderbilta do energicznego kroku, ale względy więcej przemysłowo-handlowej natury. Oto panna Wilson jest bliską krewną największego współzawodnika firmy Vanderbilt, Belmonta. Widocznie ojciec obawia się, by syn nie przeszedł — pod pantofel, a stamtąd do obozu konkurencyjnego. A obawa tej kombinacyi zachodzi poważna, bo panna Wilson ma opinię energicznej kobiety i pewne doświadczenie życiowe, liczy bowiem 33 wiosen, podczas gdy młody Vanderbilt ma zaledwie lat 22 i jest na zabój zakochany w bardzo jeszcze pięknej narzeczonej.